

# JAJA KOLUMBA - bajka z poniekąd szczęśliwym zakończeniem

- Dawno, dawno temu... - babcia Karolina ściszyła głos prawie do szeptu a my wstrzymaliśmy oddech w oczekiwaniu którejś ze wspaniałych opowieści z przepastnego repertuaru bajek naszej babci. Zналиśmy je wszystkie, ale że za każdym razem babcia dodawała jakiś nowy szczegół, wprowadzała dodatkowego bohatera, zmieniała zakończenie, lub stopniowała napięcie plącząc wątki, więc zawsze z zapartym tchem słuchaliśmy, co też nowego w starej bajce się wydarzy. Tym razem jednak babcia nagle się w swoim fotelu wyprostowała, podniosła znacząco palec, zamyśliła na chwilę, po czym zupełnie zwyczajnym głosem powiedziała - Czy wiecie, moje kochane dzieci, co babcie przyszłości będą opowiadały swoim wnukom, tak jak ja teraz wam? Babcia Karolina spojrzała każdemu z nas w oczy, uśmiechnęła nie wiadomo, do nas czy do siebie, i zaczęła raz jeszcze zmienionym cichym głosem, a my od razu wiedzieliśmy, że to już nie jest nasza babcia, ale jakaś inna babcia w jakiejś nieznanej nikomu przyszłości:

- Dawno, dawno temu, za górami, za lasami, w pewnym pięknym i bogatym kraju żył sobie naród, któremu niczego ale to zupełnie niczego nie brakowało. Mieszkańcy kraju mieli wszystko, czego tylko zapragnęli, samochody, komputery, lodówki, telewizory i wszystko to, co tylko im przychodziło do głowy, mogli zamówić sobie przez Internet wpisując w odpowiednie okienka swoje najwybredniejsze życzenia co do kolorów, materiałów, wielkości, jakości i ilości, i już na następny dzień stało to coś pod ich drzwiami. I czekało tak długo, aż zamawiający wyrzuci swoją starą rzecz żeby mieć miejsce na nową.

W kraju tym od dawna nie było złodziei, bo każdy mógł mieć wszystko, co tylko chciał, złodzieje też. Nie było więc sensu kraść. Dlatego rzeczy stały tam, gdzie firma transportowa je zostawiała bez obawy, że ktoś je sobie przywłaszczy. Wręcz przeciwnie, zdarzały się przypadki podrzucania całkiem porządnym rzeczy sąsiadom, wtedy to oni mieli kłopot z ich usunięciem. Ale takie akty wandalizmu były bardzo surowo karane, a karą była przymusowa praca przy usuwaniu zbędnych rzeczy, więc podrzucanie ich też nie miało większego sensu. Co jak co, ale to nie opłacało się już zupełnie. Era, kiedy ludzie nagminnie podrzucali sobie nocą różne przedmioty, a stało się to nawet pewnego rodzaju podniecającym sportem, dawno przeszła do historii.

Dawno też przeszły do historii pieniądze, były takim samym przeżytkiem jak średniowieczna kolczuga czy romantyczne telefony na korbkę. Nikt w tym przebogatym kraju nie musiał mieć pieniędzy, odkąd dzięki najnowszym technologiom można było mieć dosłownie wszystko. Programy komputerowe pisały plan syntetyzowania danej materii, fabryki materii przerabiały dowolną materię na inną dowolną materię, wykonywały zamówiony przedmiot i każdy mógł mieć czego tylko jego dusza była w stanie zapragnąć. Worek diamentów? Ależ proszę bardzo! Jedno kliknięcie myszką i już nazajutrz pod drzwiami stał worek pełen diamentów, i nie wiadomo było co z nimi zrobić. Żaden złodziej nie byłby taki głupi, żeby się na nie pokusić, bo po cóż mu worek diamentów?

Obraz Leonarda? Mój Boże, był taki czas, kiedy w każdym domu wisiała oryginalna Mona Lisa lub Dama z łąsiczką, czy jak kto woli, gronostajem, aż w końcu stało się to synonimem złego smaku. Teraz modne było mieć jak najmniej, byli i tacy, którzy z minimalizmu dążyli do nanomalizmu, czyli tylko niezbędna elektronika zminimalizowana do granic możliwości, kilka twardych dysków wielkości kosteczek do gry w kieszeni, telefon komórkowy w uchu i zwijany w rulonik jak pergamin ekran komputera pod pachą, po rozwinięciu odpowiednio ogromny rozumie się, składana klawiaturka w butonierce, oto wyposażenie naprawdę nowoczesnego człowieka, poza tym zwijany materac typu futon, lekka jak pianka kołderka (w

dzień mieszcząca się w maleńkim woreczku), bo już stół, szafa, czy półka były zupełnie zbędne, jadało się w tzw. Żarłomakach, świeże ubranie zamawiało na rano, stare unicestwiano, biblioteka mieściła się w kostce do gry.

Byli to wyznawcy tzw. ekstremalnego nieposiadania, jednakże zwyczajni ludzie z lubością pławili się w antykach, dywanach, dziełach sztuki, klejnotach i urządzeniach elektronicznych coraz to nowszych generacji, unicestwiarki pracowały niestrudzenie dniami i nocami. Każdy mógł mieć wszystko, nawet skarby króla Salomona nie byłyby w stanie nikomu zaimponować. Tym bardziej trapił się król kraju, gdy przyglądał się życiu jego mieszkańców ze swojej pięknej limuzyny, że mimo tych rajskich uwarunkowań ludzie nie byli szczęśliwi. Rzadko się uśmiechali, szczery radosny śmiech w ogóle zanikł wśród narodu, ludzie chodzili smutni, przygnębieni i wiecznie narzekali. Król był dobry i mądry i martwił się stanem swoich podwładnych. - Dlaczego szczęście opuściło nasz kraj? - zachodził w głowę i rozkazał swoim liczным ministrom zająć się tą sprawą.

Ministrowie rozpuścili armię urzędników po kraju, urzędnicy sporządzili ankietę długości rolki papieru toaletowego, wydano zarządzenie, że każdy z mieszkańców musi się opowiedzieć. W końcu zebrano wypełnione ankiety, podliczono wyniki i sprawa wróciła z powrotem na biurka ministrów. Mimo że pytania dotyczyły wszelkich dziedzin życia, z ankiety wyzierało tylko jedno nieszczęście. Ludzie skarżyli się na brak stałości w ich życiu. Nic nie było trwałe, nic się nie trzymało kupy. A już najfatalniej sprawa się miała z miłością i związkami małżeńskimi. Ulubione jak wszędzie tak i w tym kraju filmy hollywoodzkie kończyły się zwyczajowymi happy-endami, ludzie się kochali, pobierali ze sobą i żyli długo i szczęśliwie. Tacy byli bohaterowie w filmach. W życiu było zgoła przeciwnie, ludzie żyli wprawdzie długo, ale nieszczęśliwie, jako że wcześniej czy później po tym jak się pobrali nieuchronnie rozwodzili się... dwa, trzy, pięć razy w ciągu życia... Oglądanie filmów ze szczęśliwymi zakończeniami poczucie ich nieszczęścia jeszcze pogłębiało. Jak temu zaradzić?

Panowie ministrowie udali się na naradę. Radzili długo i zażarcie. Niestety transmisji telewizyjnych z narady nie było, bo narada była ściśle tajna, nie wiadomo więc co sobie mówili i jak argumentowali, dość na tym, że po wielu debatach ustalili jednogłośnie, "iż już wiedzą co należy zrobić". A mianowicie należy wszystkim filmom z happy-endami poucinać końce. To samo miało spotkać książki ze szczęśliwymi zakończeniami. A także baśnie, bajki i piosenki. Bez względu na to, czego happy-end dotyczył, niech się ludzie nie stresują. Jak rozkazano tak zrobiono. W całym kraju oglądanie filmów z happy-endami zostało surowo zabronione, w radio szły piosenki wyłącznie tragiczne, szczęśliwym bajkom dopisywano nowe, nieszczęśliwie puenty. Wilk tyknął babcie i ani się zakrzuszył, ani mu brzuch rozpruto, strawił babcie i po krzyku, smok przeżył palenie siarki i nadal żądał świeżej dziewicy każdego ranka, Kopciuszek spodobał się wprawdzie królewiczowi, ale że był z nizin społecznych, nie było szans na ślub...

- Czy teraz naród jest szczęśliwszy? - dopytywał się król. - Bez wątpienia - odpowiadali zgodnym chórem panowie ministrowie potakując sobie wzajemnie głowami. Lecz król widział przez okna swojego pałacu zupełnie inną sytuację. Naród był wzburzony, podzielił się na wiele zwalczających się wzajemnie partii, zaczęły się rozruchy grożące bez mała wojną domową. Partie środka domagały się zachowania status quo, niechże będzie jak było. Hipokryzja śmiertelna nie jest a ludzie i tak zawsze narzekali i narzekać będą. Niech będą głośne śluby i huczne wesela na całe życie a potem dyskretne rozwody i ciche kolejne śluby. Ultraprawicowe partie domagały się nie tylko hollywoodzkich filmów z happy-endami, ale i surowego egzekwowania happy-endów w życiu, dziewczyny miały zachowywać cnoty do ślubów a żony wierność po ślubach, a za przedwczesną utratę dziewictwa oraz wiarołomność proponowano karę zrzucania ze skał.

Dla męskich członków partii przewidywano wyszumienie się przed ślubem, ale bez dokładnego określania jakim sposobem miałyby to się odbywać, jako że przecież nie z dziewicami, mężatkami tym bardziej nie, rozwódek i tak miało nie być, a wdów było jak na lekarstwo, bo mało której żonie udawało się donosić wierność do wdowieństwa. A że homoerotyką partia się brzydziła, pozostawało więc wyszumienie się członków w ramach autoerotyki we własnych łazienkach, o czym po prostu na zebraniach partii mówić nie wypadało. Natomiast z drugiej strony skraju partia Brunatnych Kobiecistek żądała natychmiastowego przywrócenia ustroju niewolniczego, gdzie niewolnikami byliby wyłącznie mężczyźni w ramach rekompensaty za wieki zniewolenia kobiet. Pod pałacem ustawiali się pikietujący z transparentami skandując wściekle. Przed oczami króla przesuwały się każdego dnia coraz to nowe żądania, których spełnienie ewidentnie gryzło się ze sobą. Hasła mówiły same za siebie:

**MONOGAMIA GWARANTEM SZCZĘŚCIA!  
POLIGAMIA W KAŻDEJ POSTACI!  
ROZWODÓW NIE BĘDZIE!  
ROZWODY BEZ ROZPRAW!  
DZIECI TYLKO Z PIERWSZYCH ZWIĄZKÓW!  
WSZYSTKIE DZIECI SĄ NASZE!  
GŁOWY ZA ZDRADĘ!  
ZDRADA GWARANTEM ZWIĄZKU!**

Wszyscy jednakowoż dziwnym trafem zgodni byli co do jednego:

**PRECZ Z MINISTRAMI!  
MINISTROWIE DO TEK I NA STOS Z NIMI!**

Król czuł się zdezorientowany, bezradny i osamotniony, tym bardziej, że sam właśnie rozwiódł się po raz enty i nie miał nawet z kim podzielić się myślami. Jego były małżonki, ex-królowe, też wstępowały w swoje kolejne związki, z których jeszcze szybciej wychodziły, więc mimo deklarowanej przyjaźni zajęte sobą ani myślały zajmować się sprawami królestwa. Król wymienił więc co bardziej stetrycziałych ministrów i dalej radzić, jak uspokoić nieszczęśliwy naród. Ministrowie po licznych naradach połączonych zgrabnie z lukullusowymi bankietami (telewizja nadal nie była wpuszczana) zgodzili się co do tego, że trzeba coś zrobić i rozpisali konkurs na najtrwalsze małżeństwa w całym kraju. Nagrodą miało być tak zwane łóżeczkowe, czyli doprawdy zajęte łóżko dla wytrwałych małżonków jakiego świat nie widział z najnowocześniejszą automatyczną sterownią wspomagającą ruchy frakcyjne.

Niektórzy nawet się połakomili, mimo tego, że przecież mieli wszystko, ale łóżeczkowe mogli mieć tylko nieliczni, więc zawsze to coś, o co warto było powalczyć. Szybko jednak wyszło sztydło z worka, bo zgłaszały się i takie małżeństwa, które od dawna żyły w separacji i tylko z lenistwa się nie rozwodziły a łóżeczkowe rąbali na pół i zabierali każde po połowie rujnując tym samym całą ideę. Poza tym już wkrótce na czarnym rynku pojawiły się falsyfikaty łóżeczkowego do złudzenia przypominające oryginały i niejeden kawaler z odzysku zaopatrywał się w nielegalne łóżeczkowe, żeby zwabić tym pannę po przejściach i doprowadzić do legalnego związku, który i tak zaraz miał się rozsypać. Król rwał sobie włosy z głowy. Kolejna wymiana gabinetu ministrów niestety niczego nowego nie wniosła (a kosztowała podatników krocie). Jeden z bardziej aktywnych ministrów zapowiedział wprowadzić gromko zero tolerancji dla rozwodników, ale tym samym ustanowił brak tolerancji dla całego narodu z wyjątkiem dzieci, więc i jego szybko stracono.

W końcu zrozpaczony król rozesłał po kraju heroldów z rozkazem sprowadzenia każdego, kto znalazłby wyjście z impasu. Ściągano więc na dwór różnych nieprzeciętnie inteligentnych pastuszków, różnych nawiedzonych pustelników, różnych młodzieńców podających się za wybitnie zdolnych szewczyków... Niestety, ich propozycje zdały się psu na buty, bo nie różniły się zbyt od tej z zerem tolerancji, król odsyłał ich więc do diabła a sam coraz bardziej pogrążał się w depresji.

Aż któregoś dnia po kraju poszła fama, że oto pewna stara zielarka w swojej wsi uchodząca tak naprawdę za czarownicę zna rozwiązanie problemu. Fama dotarła także do królewskich uszu. W postaci ni mniej ni więcej tylko "JAJ KOLUMBA". Wszyscy dworzanie szeptali bowiem między sobą i każdy nie mógł się dość nadziwić. Ależ to jest jajo Kolumba, mówili jeden do drugiego. A jak dwór zaczął już huczeć od plotki i z jednego jaja zrobiło się wiele jaj, także i król się zainteresował - "I cóż to takiego te JAJA KOLUMBA?" A poinformowany natychmiast wysłał delegację po starą czarownicę, która widząc zbliżających się królewskich posłańców w mgnieniu oka zamieniła się w piękną młodą wróżkę. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że jej wygląd może być jęczyzkiem u wagi w przekonywaniu króla do swojego pomysłu. I w rzeczy samej, król był tak zauroczony piękną kobietą, że natychmiast się oświadczył. Wtedy wróżka z wdziękiem odmówiła królowi swojej ręki i wygłosiła słynną już receptę na szczęście w kraju:

- Najjaśniejszy Królu, spójrzmy prawdzie w oczy, instytucja małżeństwa jest przeżytkiem jak, nieprzymierzając, średniowieczna kolczuga czy telefon z korbką naszych praprapra-dziadków! Jak pieniądze i złodzieje! Ludzie są nieszczęśliwi, bo idąc do ślubu przysięgają sobie miłość do grobowej deski, że nigdy się nie opuszczą, nie przestaną kochać..., że w biedzie i nieszczęściu będą trwać przy sobie, wspierać się i pielęgnować, serwować szklanki z wodą na starość... ale nie upływa wiele czasu i miłość sama z siebie mija, bo tak to już jest z miłością, że przychodzi i odchodzi kiedy zechce, nie zależy to od naszej woli, a przysięganie tego samego na kolejnym ślubie jest już tylko zwykłą farsą a nie przysięgą, prowadzi to do niebezpiecznego zakłamania, hipokryzji rzutującej cień na wszystko inne w życiu.

Ludzie próbują z tym jakoś żyć, gromadzą rzeczy wokół siebie, bo przynajmniej te wydają się być trwałe, ale wymieniają je na nowe, bo otaczanie się coraz to nowymi rzeczami jest jedyną prawdziwą przyjemnością w ich życiu, nawet jeśli krótką. Reszta to fałsz. A fałsz to nieszczęście. To brak szczerego uśmiechu, to śmiech co najwyżej wymuszony, to zamykanie się w sobie, to życie w ciągłym rozdarciu, w poczuciu rozmijania się z prawdą. W dzisiejszych czasach wszelakich dóbr doczesnych dostępnych dla każdego nie ma potrzeby gromadzenia przedmiotów, w dzisiejszych czasach ważne jest, że nasze uczucia są autentyczne, nasze słowa prawdziwe a przysięgi tylko wtedy coś warte, jeśli można ich dochować. Nie, Królu, nie wyjdę za ciebie za mąż, choć przysięgam, i ja ciebie od pierwszego wejrzenia pokochałam, mimo że mogłabym być twoją babką, jesteś mądrym człowiekiem, więc dostosuj prawo w swoim kraju do wymogów czasu.

Niech ludzie się ze sobą kochają, niech mają ze sobą dzieci, w jednym, drugim, trzecim i kolejnym związku, niech swoim dzieciom przekazują, że miłość, to najpiękniejsze co może je spotkać w życiu, więc kiedy tak im się zdarzy, niech się cieszą, niech się ze sobą kochają, niech mają ze sobą dzieci, jeśli tego pragną, którym nikt nie będzie mówił, że są z rozbitych związków, niech przyrodnie rodzeństwo będzie dla siebie prawdziwie kochającym się rodzeństwem, niech do rodzinnego święta siadają całą gromadą. Ustanów, królu, w naszym kraju takie prawo, które będzie chroniło dzieci zawsze i z każdego związku a rodzicom pomagało swoje dzieci wychować na ludzi bez względu na to, czy są oni akurat ze sobą czy z innymi partnerami. Niech nie będzie rozwodów w naszym kraju, ale nie dlatego, że są zabronione, ale że nie są potrzebne!...

- Proste jak jajo Kolumba! - pomyślał król i spojrział z tak wielkim podziwem na piękną wróżkę, że gdy po skończeniu swojego orędzia zamieniła się z powrotem w starą zielarkę, nadal uważał ją za piękną i godną uwielbienia. Zaraz też zabrał się do zmiany ustaw i paragrafów, i dlatego teraz, ja, wasza babcia, mogę wam opowiedzieć to wszystko jako bajkę, bo od dawna jest to w naszym szczęśliwym kraju wprowadzone. Nie ma u nas ślubnych i nieślubnych dzieci, nie ma rozbitych małżeństw, nie ma upokarzających rozwodów, nie ma samotnych matek zostawionych samym sobie, to tylko w bajkach jeszcze bywa, w bajkach o złych i głupich czasach ze szczęśliwym zakończeniem.

I my wpatrywaliśmy się w starą piękną twarz naszej babci Karoliny z uwielbieniem. To była rzeczywiście całkiem nowa bajka, ciekawe skąd nasza babcia wie, jak będą wyglądały przyszłe bajki? Może stąd, że sama miała trzech mężów i gdyby policzyć ile oni mieli żon, zrobiłaby się cała gromada a my jesteśmy wnukami tej gromady? W tym momencie babcia Karolina puściła do nas po łobuzersku oko, młodzieńczo klasnęła w dłonie i zaintonowała wesoło:

Dzieci, dzieci, na dziś koniec bajek,  
zapraszam na kogel-mogel z jajek!

\*

*Gustavsberg/Sztokholm, 8 lutego 2007*